

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

33

(Ciąg dalszy).

— Więc siedzisz w błocie?  
— Po szyję.  
— Wytkomacz się!  
— Generalną spadkobierczynią jest panna Zofia Żarska, zobowiązana jedynie do wypłacania mi dożywotniej pensji z każdej sukcesji po piętnaście tysięcy rubli rocznie...  
— Co czyni razem trzydzieści tysięcy rubli.  
— Wiesz przecie, że teraz wydaje więcej, niż dwa razy tyle.  
— Co zatem postanowiłeś?  
— Ożenić się z Żarską.  
— I od jutra zaczynasz się starać o jej rękę?  
— Jak rzekłeś... od jutra. Zaprawdę, byłoby rzeczą zbyt głupią, gdyby obie olbrzymie fortuny przejść miały w obce ręce.  
— Czyż zawsze tego nie mówiłem? Ale odpowiadałeś mi, że nie możesz zgodzić się na megalians.  
— Rozmyślałem się... Masz tu paręset rubli za usługę mi oddaną. Jedź zaraz do Warszawy... Gdybym cię potrzebował, napiszę, albo zatelegrafuję... Bądź zdrow stary!... Do widzenia Bogajesiu!...  
— Niechże ci w amorach szczęście sprzyja!

## VII.

Jerzy, z wrodzonym sobie sprytem, rozpoczął zabiegi o rękę Zosi, starając się przede wszystkim o pozyskanie jej życzliwości i zaufania. Nadskakiwał dziewczęciu, myśli odgadywał, nazywał „siostrą“, udawał tęskne rozmarzenie, a chociaż od dawna domyślał się jej miłości dla młodego malarza, pozostawał z nim w jak najlepszych stosunkach, na spacerach częstował go cygarami, unosząc się głośno nad talentem Piotra i zachwycając się jego obrazami. Słowem, zmienił zupełnie całe zachowanie się dotychczasowe. Z dumnego i chłodnego panka stał się przystępnym i czułym młodzieńcem; z niegrzecznego i opryskliwego — układnym i uprzejmym.

Pewnego poranku — było to w niedzielę — spotkał Zosię w parku, powracającą z kościoła. Zbliżył się pospiesznie i podał jej świeżo rozkwitłą różę.

— Dla ciebie, siostrzyczko, zerwałem tę oto różyczkę — rzekł słodko. — Wepnij ją w bujne włosy. Na twojej ślicznej główce wydawać się będzie stokroć piękniejszą.

Panienka wzięła podany kwiat obojętnie i po chwili — niby niechcący — opuściła go na ziemię.

— Gdybyś otrzymała różę od pana Piotra, nie rozstałabyś się z nią tak szybko.

— Nie rozumiem pana.

— Wyrażam się przecież bardzo jasno. Łatwo mi odgadnąć sekret, który pragniesz ukryć przedemną.

Ona milczała. W powłóczyście jej spojrzeniu wyczytał Jerzy wyraz nieufności.

— W życiu twojem są tajemnice, siostrzyczko, których odkryć nie pragnę. Nie chcę nic słyszeć o przeszłości, lecz dałbym wiele, gdybym się mógł dowiedzieć, kto obecnie wywołuje silniejsze bicie twojego serduszka.

— Nic nie ukrywam, nie mam żadnej tajemnicy — odpowiedziała poważnie.

— Czy być może?

— Zareczę panu.

— Czy mam ci wierzyć na ślepo?

— Tak... proszę mi wierzyć.

— Otóż nie wierzę!... Śliczne usteczka pani kłamia.

— Panie Jerzy!

— Kochasz...

Ona drgnęła i osłabiona nagłym wzruszeniem oparła się mimowoli na ramieniu idącego obok niej młodzieńca.

— Zamilkłaś, nie chcesz się przyznać... nie chcesz się usprawiedliwiać...

— Dlaczego miałabym się usprawiedliwiać? Wszakże kochać nie jest zbrodnią — szepnęła. — Czyż nie jestem wolną?

— Wolną? Wolną... w tym domu?

— Chciałabym pan powiedzieć, że dom księżnej nie jest moim domem, że jestem tu obcą... Pamiętam o tem. Wprowadzona do niego z łaski twojej zacnej ciotki, zajmuję nienależne mi miejsce. Chciej jednak wiedzieć, że położenie to sprawia mi nie-

zmierną przykrość, czuję bowiem, że nie wypłacam się należycie za dobrodziejstwa, któremi mnie księżna obsypała. Cierpię z tego powodu bardzo; nie wypadało zatem, panu szczególnie, przypominać mi, że jestem tu tylko intruzem.

— Żle, panno Zofio, tłumaczysz sobie myśl moich wyrazów.

— Och, znam myśli pańskie od dawna; wiem, że ci zawadzam... To też zdziwiłam się przed paru dniami bardzo, gdyś żądał odemnie przyjaźni, prosząc, abym się uważała za twoją siostrę. W prostocie mojej wierzyłam w szczerość słów pańskich, zgodziłam się być ci siostrą życzliwą. Zbłądziłam... pan mnie, jak dawniej, nienawidzisz. Czuję, że zastawiasz sieci i pragniesz mnie w nie uwikłać, a przecież staram się w otoczeniu twojem rodzinnym jak najmniej miejsca zajmować, usuwając ci się nieustannie z drogi.

— Ależ, najdroższa panno Zofio, tracisz głowę! Nie jesteś tu obcą, tylko przybraną córką mojej ciotki. Serce jej do ciebie należy; moje zaś również stało się twoją własnością...

— O, nie mów pan tego!

— A jednak mówić będę ciągle. Tak, tak istotnie... oboje, ja i księżna, ubóstwiamy cię... ubóstwiamy całą duszą. Czy rozumiesz teraz, dlaczego cię badam i dlaczego chciałbym poznać tajemnicę twego serca? Zazdroszczę wszystkim, których kochasz! Nie zdajesz sobie sprawy, jak mi jesteś drogą!

Zosia zatrzymała się na środku piaskiem wysypanej ścieżki i rzekła cichym głosem:

— Przed chwilą zarzuciłeś mi pan kłamstwo. Teraz mnie znowu zdaje się, że pan kłamiesz.

— Panno Zofio!

— Tak, kłamiesz pan... W jakim celu? Nie wiem; czuję jednak, że kłamiesz. Czuję, że chcesz mnie popchnąć nad brzeg przepaści. Dlaczego mówisz o uczuciu, którego wcale nie żywisz dla mnie? Czy, korzystając z mego niedoświadczenia i nieznajomości życia, chcesz wywołać w duszy mojej zamęt i niepokój? Na co to wszystko? na co to udanie?

— Nie udaję... kocham cię!

— O, proszę pana!... Zkądżeby miłość dla mnie zrodzić się miała tak nagle i niespodzianie? Wszakże jeszcze bardzo niedawno, jeśli nie nienawidziłeś biednej przybłądy, to, co najmniej, byłeś dla niej zupełnie obojętny.

— Podbiłaś mnie, oczarowałaś, zabiłaś mi serce — rzekł młody człowiek, chwytając dziewczę za rękę, którą ona napróżno z dłoni jego starała się wyrwać. — Uwielbiam cię! Ubóstwiam! Jak to już raz ci powiedziałem i pragnę powtarzać nieustannie. Zazdroszczę temu... temu, którego kochasz, bo nie ulega wątpliwości, że kochasz innego. Wiem o tem, jestem tego pewny!

— Gdyby nawet tak było, cóż to pana obchodzi może?

— Obchodzi mnie... bo uważam cię już prawie za moją żonę.

— O!

— Czy chcesz, żebym ci powiedział kogo kochasz?

Zosia, nagle zarumieniona, cofnęła się w tył, aby się oddalić, lecz Jerzy objął jej wiotką kibić silnym ramieniem i na odwracającej się od niego twarzy dziewczęcia — wycisnął gorący pocałunek...

— Kocham cię! — szeptał, grając komedję wzruszenia. — Musisz być moją, bo kocham, kocham, kocham! Poślubię cię, uczynię hrabiną Wielogrodzką, zmuszę cały nasz świat arystokratyczny do pochylenia przed tobą czoła... Mieć będziesz wszystko, czego tylko zapragniesz, uczynię cię najszczęśliwszą z kobiet...

Lecz ona już go nie słuchała. Wyrwawszy mu się z rąk, popędziła w las jak szalona, dziwnym wstrętem przejęta. Biegła ciągle przed siebie, uciekała od Jerzego, chociaż ten jej nie gonił. Nigdy w życiu nie czuła się tak strasznie oburzoną i upokorzoną w oczach własnych.

Po dość długim błądzeniu pośród gęst... śnieżnej, posłyszwała, jak zegar pałacowy wydzwaniał jedenastą.

— Księżna czeka na mnie. Trzeba wracać — pomyślała.

Wtem uszu jej doleciał odgłos zbliżających... kroków.

— Kto to?... czy nie Jerzy?

Gdyby chciał ją znowu napastować, bronić się będzie... odepchnie go... odepchnie, odtrąci!... Wbiegła na kamienne schodki, wiodące do wnętrza starej, opuszczonej i zrujnowanej kapliczki.

Na ścieżce ukazał się Piotr. Spostrzegł Zosię, oczy pełne zachwyty w nią wlepił... i stanął.

— Ach, to pan! — rzekła z wdzięcznym uśmiechem, rozjaśniającym nagle jej twarz chmurną przed chwilą, teraz pogodną i uspokojoną. — I pan, jak widzę, odwiedza moją ulubioną kapliczkę? Co prawda, całe jej otoczenie wydaje mi się bardzo malownicze...

— Chciałem właśnie je naszkicować — i to mówiąc, złożył pudełko z farbami na kamieniu, pokrytym puszystą powłoką mchu. — Ten zakątek jest w rzeczy samej cudowny. Zbliżająca się jesień kładzie na jaskrawej niedawno zieloności barwy złote i purpurowe, takie ciepłe w tonie, takie kolorystyczne!... Ach! jak tu dobrze, jak bardzo czuję się szczęśliwym... Ile razy przychodzę w tę stronę, nie chce mi się nawet myśleć o powrocie do mojej miejskiej, pustej, smutnej pracowni!

— A jednak w swojej pracowni jesteś pan u siebie, gdy tu...

— Tak, tak... tu tylko pani jesteś u siebie... jakby w własnym królestwie... w tym lesie... w parku... w pałacu...

— Och, nie! i ja nie jestem tu u siebie... pan wiesz o tem, bo ci to już powiedziałam... i ja tu jestem obcą.

Usiedli na wilgotnych stopniach kapliczki.

Rozmawiali z sobą dość długo, nie wymówili jednak ani razu słowa „kocham“, chociaż oczy ich pały wielką i prawdziwą miłością, chociaż wiedzieli, że wkrótce rozstać się muszą, bo praca Piotra już była prawie skończoną, więc młody malarz za dni parę opuścił Zahajce, aby powrócić do Warszawy. A potem... potem...

Może się już nigdy nie zobaczą!

## VIII.

Jerzy, zastanowiwszy się głębiej, przyszedł do przekonania, że wziął się do rzeczy zbyt gwałtownie; że sposób, w jaki się oświadczył Zosi, mógł ją rozdrażnić i przejąć trwogą, zmienił więc zupełnie dalsze postępowanie. Był dla niej uprzejmy i grzeczny, lecz zachowywał się ciągle taktownie i przyzwoicie. Zaczął pozować na starszego brata, otaczającego młodszą siostrę czułą opieką — lecz o miłości już nie wspominał wcale. Podstępny i skryty, czekał na pomyślną chwilę do przeprowadzenia swoich zamiarów.

Ksiądz Jan Maryan Wielogrodzki i Filip Glenmour, spodziewani od dawna, przybyli nareszcie do Zahajec. Przyjazd ich ożywił wszystkich. Rozpoczęły się wspólne wycieczki do lasu, pasieki i odalonych folwarków, położonych w miejscowościach malowniczych.

Piotr jeden rzadko kiedy brał w nich udział, zajęty był bowiem wykończaniem dekoracyjnych obrazów, którymi przyozdabiał wielką salę pałacową.

Filip, doskonały znawca sztuki, obejrawszy jego prace, rzekł do młodego malarza:

— Obrazy twoje są w ogólności bardzo ładnie skomponowane i namalowane, a o portrecie panny Zofii mogę śmiało powiedzieć, że jest prześliczny.

— Życzliwość pańska dla mnie sprawia — odparł Piotr — że ci się wszystko dobrem wydaje.

— Nie, nie! Masz duszę na wskróś artystyczną, a dzięki sumiennej pracy udoskonaliłeś i uszlachetniłeś swoją technikę. Niejeden z naszych mistrzów nie powstydziliby się na twoich *panneaux* podpisać. Nadto, powiem ci szczerze, że wizerunek wychowawcy księżnej wywiera na mnie bardzo silne wrażenie, przypomina mi bowiem moją siostrę, gdy była w jej wieku. Utraciłem ją niestety i nie wiem nawet, co się z nią dzieje... Pewno umarła — dodał mocno wzruszony.

Prawdziwa przyjaźń łączyła Glenmoura z księdzem Janem. Ten ostatni jednak nigdy mu nie opowiadał, w jaki sposób Zosia dostała się do domu księżnej. Filip zatem nie mógł się domyśleć, jak bliskim mu jest krwią piękne i dobre dziewczę. Pokochał je jednak szczerze, pupilka bowiem wielkiej damy urokiem swoim, pełnym niewystawionego czaru, podbiła wszystkich, przebywających choćby czas krótki w jej otoczeniu.

Piotr pod wpływem tego uroku stworzył istotnie znakomite dzieła. Ubóstwiał ją całą potęgą pierwszego, czystego, młodzieńczego uczucia, nigdy jednak nie ośmielił się mówić z nią o swojej miłości. Gdy zrana wchodziła do sali, w której malował, dusza jego napełniała się jakąś świętą błogością, a prowadzone z nią rozmowy o sztuce, literaturze i życiu, ryły się niezatartymi zgłoskami w jego pamięci, kształcały jego umysł i uczniając serce. Dojrzywał moralnie w jej obecności, równie jako człowieka i jako artystę.

Jerzy, któremu życzliwość Zosi dla malarza